

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPRÓWICZA.

WACŁAW WOLSKI.

W OTCHŁANI.

DYABELSKI KARUZEL.

(WIZJA PIEKIELNA.)

...Potworne, czarne, skrzydlate brytany...
Z pysków i nozdrzy fontanny płomieni...
Krwawych kagańców rój piekła czerwieni...
Na bestyach oklep 'zielone szatany...

Wiedźmowych dyablic śpiew słycać syreni...
Na czarnych smokach zielone świetlany
Cwają, dzwoniąc w rytm walca pijany
Kastanietami zielonych goleni...

Na buchających płomieni wezglowiu
Sfinks szmaragdowy w koronie z ołowiu,
W płaszczu brylantów błyszczy osłupiały...

Próżno zielone syreny śpiewały...
W krwawych kagańców, dymiących słońce mrowiu
On śni o raj, marzennie omdlały...

SEN SFINKSA.

(WIZJA BŁĘKITNA.)

...Po błękitnej widmowej legendowej łące
Błądzą sennie błękitne, astralne widziadła,
Które chmura błękitnych motyli opadła
I błękitnych lotosów kielichy plonące...

Arf błękitna melodia zamierzchła, wybladła
Gędzie szklanie... Motyle błękitne błyszczące
Szemrzą sennie, widmowo o wiecznej rozłace...
Ćma błękitnych lotosów na łące osiadła...

Płoną kwiatów błękitnych widmowe kielichy,
Szklanych skrzydeł motyli rozmarza szmer cichy...
Po widmowym błękitnie płyną mary sennie...

Słupy ognia błękitne, przymglone, marzenne...
Na nich kwiatów, motyli błękitne lśnią szychy,
Pod stopami błękitny widmowe, płomiennie...

R. KONICZ.

KASIA MAJOWA.

Przeszłam ulicę cokolwiek porośłą trawą, oichą
i smutną, a szukając liczby domu 264 (wedle starej
mody) stanęłam przed olbrzymim domem, przerobio-
nym ze starego pałacu.

Wspaniałe odrzwia z czarnego marmuru py-
szniły się herbem, na którym niezgo nie brakło.
Ni pół-krzyża, gwiazd, groźnej rycerskiej rękawicy.
Było tam także jakieś oślątko, ale nie biegła w he-
raldyce, mogłam się pomylić w ocenieniu wartości
zwierzęcia.

Ćudownie sklepiona sień, do której wjeżdżać
mogły najpiękniejsze karoce, i pyszni rycerze, prze-
dzielona na pół, stanowiła teraz skład na wozy z be-
czkami, drugą stroną z trudnością można było przejść,
wymijając stragany przekupek, które tu sobie zało-
żyły rodzaj poobiedniej hali.

Odszukując w dziedzińcu nory stróża, brnęłam
po kostki w pył, który nie był „popiołem rycerzy“.
Na pierwszym i drugim piętrze ślicznie zachowane
krużganki przypominały chwile, w których wiele pię-
knych i strojnych dam, przyglądało się turniejom,
i oplakiwało śmierć pokonanych, lub wieńczyło skro-
nie zwycięzców.

Dziś na moje wołanie i kołatanie, jak z łoży
wychyliła się rozezochrana głowa stróża, a wkrótce
za nim zesłała cała familia, zdziwiona cokolwiek moją
obecnością w tem miejscu.

— Czy tu mieszka Katarzyna Maj — zapy-
tałam.

— Nie, taka tu nigdzie nie mieszka.

— A jednak adres wyraźnie wskazuje nr. 264
II. piętro.

— Nie, na drugim piętrze to w jednej piwnicy
mieszka Nosalowa, w drugiej Spędzichowa, w trzeciej
Dargusowa, w czwartej...

— Może u której z tych kobiet odnajduje
łożko Katarzyna Maj? — przerwałam.

— Nie, w czwartej.

— Tatulu, wtrącił mały chłopczyk widocznie
sprytniejszy od tatula, może to Kasia Majowa, co
pani szukają.

— Przecież inaczej pani mówią.

— Bardzo być może, że Maj i Majowa to je-
dno — skróciłam namysł.

— Zaprowadź panią — rzecze usłużny czle-
czyn, obserwując ruch mój około woreczka z pie-
niędzmi, i wkrótce żywy dzieciak „skikał“ przedemną
po okropnych drewnianych schodkach, jak zaczaro-
wana królewna, zanim się dostała na fatalną więź.

Z trudem idąc za nim, rozmyślałam, dla czego w tym domu czy pałacu, piwnice, jak wyraźnie mówili, znajdują się na drugim piętrze.

Gdy dostaliśmy się na główny korytarz, spostrzegłam, że te mieszkania czyli piwnice, były to z pewnością przed wiekami, składy na kosztowne przedmioty. Z tego korytarza sklepionego i opatrzonego w ciężko okute drzwi, które już teraz wcale się nie zamykały, wchodziło się w ogromne rozgałęzienie rozmaitych niżej sklepionych ciemnie, w których mieszkali obecnie ludzie, obywający się bez okien, światła dziennego i powietrza.

Szczęśliwsi i zamożniejsi wynajmowali dłuższe korytarzyki z drzwiami z kilku tarcic, przepuszczających słabe światelko z wewnątrz.

Do jednych takich drzwiczek zbliżając się, posłyszałam śpiew kobiecy, nie bardzo czysty, lecz z akcentem szczerzej wesołości, a jednocześnie gawędę dzieciennych głosików.

Mój przewodnik bez ceremonii pukania otworzył drzwi szeroko, i zawołał:

— Jakaś pani do Kasi Majowej!

Głos kobiecy zaprzestał śpiewu i wyrzekł pospiesznie:

— Jest!

Kształt tego pokoju niezem się nie różnił od zwykłej, długiej piwnicy; był tylko cokolwiek wyższy, a okno pół okrągłe zamiast w górze znajdowało się przy samej podłodze. Sprawiało to dziwny efekt świetlany, bo wszystko, ludzie i sprzęty, jaskrawo zarysowane u dołu, od połowy roztopiali się w mroku. Otóż obrazek, który od razu ujrzałam, był dziwnie fantastyczny. Kilka nóżek dziecięcych i cztery nogi krzesła, dalej nogi dość duże, ale zgrabne dorosłej kobiety, i czerwona spodnica po kolana, zdawała się być ciemno amarantową od połowy; nad tem biała plama koszuli, a po dwóch stronach ciemnej głowy jakieś ręce, prawie czarne, rozwieszały znów białe plamy bielizny, na niewidzialnych zrazu dla mnie sznurach.

Tuż przy okienku, na niskim stoleczku siedziała popielata masa skulonego, zgarbionego człowieka, poruszającego dużym garnkiem. Gdy już oczy moje przywykły cokolwiek do widoku całości, zaczęły badać szczegóły. Więc kobieta rozwieszająca bieliznę, która zbliżyła się do mnie, zaprzestawszy swej czynności, to Kasia Majowa. Wydała mi się więcej lipcową, ale bardzo sympatyczną. Postać jej wysoka i silna, twarz rumiana i wesoła, oczy pogodne, i łagodnie patrzące.

— Proszę was, dlaczego podawaliście się do towarzystwa „Opieki nad ubogimi“?

— Bo proszę jaśnie pani (każda z nas opiekunek musiała być jaśnie panią) ona jest bardzo biedna.

— Jaka ona?

— No, a Kasia Majowa, co pani pytała!

— To nie wy Kasia Majowa?

Rozśmiała się serdecznie.

— Ja, a gdzieżby, to ta — dodała, podprowadzając mnie do okna, gdzie popielata masa chustek, odwróciwszy się trochę górą, mignęła oczyma dość żywymi i ciekawymi.

— To wy, — zapytałam — pisaliście ten list?

— Niech jaśnie pani do niej nie mówi, ona całkiem głucha.

Kasia na widok listu kiwnęła głową.

— Pisała, pisała, głucha, stara, biedna; tak, tak!

— Z czegoż ona żyje?

— Ot tak, za to łóżko w kącie, to jedna pani płaci za nią guldena miesięcznie, a resztę jak pan Bóg da.

— Tak, ale Pan Bóg daje przez ręce ludzi, któż ją żywi?

Kobieta milczała, spuszczone powieki drgnęły.

— Mnie trudno, szepnęła, zarabiam sama.

— A maż się nie sprzeciwiła, że trzymacie tę biedaczkę.

Różowe policzki kobiety stały się ponsowe.

— Ja nie mam męża.

Nastało kłopotliwe milczenie. Nie wiem czemu, bo spotykam często podobne wyznanie, zarumieniałam się także po białka.

Kobieta drgnęła.

— Kiedy pani powiedziałam prawdę, to już i dalej muszę powiedzieć. Bo ja mogłabym nie powiedzieć prawdy, boby to pani nie szkodziło nie wiedzieć, ale ja już taka, że muszę zawsze prawdę powiedzieć, — jąkała biedaczka, chwytając powietrze, stopniowo jednak ośmielając się i zyskując moją sympatyę.

— Pan rektor, to mnie zna, ja u nich służyłam dziewczyną. A potem powiedział: „Ja wiem, że ty nie żadna ulicznica, to tobie dopomogę, żeby dzieci wzięli do „Przytuliska“, będzie ci lżej“. Ale ja nie, niech mnie Bóg broni, choćbym sobie miała po łokcie ręce upracować, to dzieci nie dam, zawsze im przy mnie lepszy suchy kawałek chleba, niż w przytulisku grochowianka.

— Więc to, biedna kobieto, zakochałaś się, ktoś cię wziął i rzucił.

— Nie, nie, — broniła się — gdzieżby tak kochanie, to grzech, tylko ten pan mi dawał pranie, to był medyk, i tak jakoś po trochu, że często przychodził, bardzo przyzwyczaiłam się do niego. A to chustkę, a to kołnierzyk zaraz, że czekał na to i patrzył, jak ja robię, a on chwali, zręczna, zdrowa, a zgrabna. Taki jakiś był pański; jak raz zastał mnie już w łóżku, że od raniutka pracowałam, tak cały bukiet fiołków, co miał w ręku rozmyślił, i posypał mnie całą po kołdrze. — Mam te wszystkie kwiatki schowane, co do jednego. A potem to tak, i tak, bo strasznie się bałam, żeby się nie pogniewał.

Długo temu złapać nie mogła.

— Potem mi płacił za dziecko, ale jak już musiał wyjechać, tak powiada: „Będę zawsze o tobie pamiętał, i przysyłał pieniądze“. Z początku przysyłał, ale potem przestał. Radzili mi ludzie, żebym go pozywała do sądu, ale gdzieżbym ja tam przed panami mogła to wszystko opowiedzieć. O tak, jaśnie pani, samej takiej dobrej pani (nie wiem poczem to poznała), to mi nawet lżej to wszystko tak wymówić.

— No, a to drugie dziecko, — zapytałam z pewną obawą, aby odpowiedź nie popsuła tego współczucia, jakim się napełniło serce moje dla biedaczki.

— To drugie! — i zamilkła. — To nie moje — rzekła z wahaniem, jak gdyby kłamała.

— A czyjeż?

— To jak pisałam jeszcze raz do niego, że mi bardzo ciężko, tak mi przysłał jedną dziewczynę. Ona chciała iść do służby, a miała także chłopczyka, o tego, rzekła, wskazując na mniejszego z dwóch, no

i mówiła, że za tego to już z pewnością będzie płacił nawet więcej.

Ciemnym rumieńcem spłonęło ożoło jej nawet, a z ócz nagle trysnęły dwa potoki łez tak gwałtownie, że o mało wraz z nią nie zaczęłam szlochać.

O biedne, biedne te pokorne, proste a tak delikatne natury kobiece.

— No i co, także przestał płacić — pomogłam jej kończyć opowiadanie, i widząc, że chyli głowę ze wstydem, jakby i to przyjmowała za swą winę.

— Płacił, płacił, przez kilka miesięcy, ale potem dziewczyna już do swego dziecka nie zaglądnęła, i pan musiał zapomnieć, a dziecko nie temu nie winno, to zostało, jakby także moje było.

Chłopcyki zajęci mocno wylapywaniem krupiek z mleka, i tworzeniem z nich osobnych deseni na brzegu miseczki, dowodzili serdecznym śmiechem, że nie byli ani głodni, ani tyranizowani.

— Może się pan doktor ożenił? — spytałam po chwili.

— Wiem, że nie, ja zawsze wiem, gdzie on jest. Tylko, że do niego nie piszę, i o nie nie proszę, nie. W małym jest mieście, to dużo ma bardzo zajęcia — usprawiedliwiała go.

Rozmyślanie moje nad tem, co widziałam, przewrała zupełnie świeżym a nieprzewidzianym wybuchem:

— Czyżbym ja w tej ciemnej dziurze mieszkała, proszę pani, żeby mi się ciągle jeszcze nie zdawało, że on sam chodzi po tym wielkim narożnym pokoju — skończyła, wskazując na prawo.

Kasia Majowa niespokojnie się poruszyła pod oknem, a potrasając dogasającymi węglami w garnku, przy którym grała swoje stare skostniałe palce:

— Tak, tak, — mówiła — oj tak!

KNUT HAMSUN.

NIEWOLNICY MIŁOŚCI.

Piszę to dziś, piszę, aby sercu ulżyć. Straciłam miejsce w kawiarni i jasne me dni.

Młody człowiek w szarem ubraniu przychodził każdego wieczora z dwoma przyjaciółmi i siadał przy jednym z mych stołów. Tyłu ich przychodziło, a każdy z nich darzył mię grzecznem słowem, tylko on nie. Wysoki był i smukły, miał miękkie czarne włosy i niebieskie oczy, którymi czasem po mnie powiódł i leciuchny ślad zarostu nad ustami.

Tak, miał może jakieś uprzedzenie do mnie z początku. Cały tydzień przychodził bez przerwy. Przyzwyczałam się do niego i brakło mi go, kiedy pewnego wieczoru się nie pokazał. Przeszłam przez całą kawiarnię i szukałam go, wreszcie go odkryłam pod jednym z wielkich słupów na drugim końcu; siedział z pewną damą z cyrku. Miała na sobie suknię żółtą i długie po wyżej łokcia sięgające rękawiczki. Była młodą i miała piękne, ciemne oczy — a moje oczy były niebieskie.

Stałam na chwilę przy nich i słuchałam, o czem mówili; czyniła mu wyrzuty, znudził się jej i kazała mu iść precz. Myślałam w sercu: Święta Panno, czemuż do mnie nie idzie?

Na drugi wieczór przyszedł ze swymi dwoma przyjaciółmi i usiadł znowu przy moim stole. Nie

przystąpiłam, jak to zwykłam czynić, lecz udawałam, że nie spostrzegłam. Kiedy na mnie skłamał, przystąpiłam do stołu i rzekłam:

„Wczoraj pan nie był tutaj“.

„Jaki cudowny wzrost ma nasza kelnerka“, rzekł do jednego ze swych towarzyszy.

„Piwa?“ spytałam.

„Tak“, odpowiedział. I z pośpiechem przyniosłam trzy szklanki.

Kilka dni upłynęło.

Podał mi bilet i rzekł:

„Zanieś to pani do...“

Wzięłam kartę i zaniiosłam ją, zanim skończył mówić, żółtej damie. Po drodze przeczytałam imię: Włodzimierz F.

Kiedym wróciła, spojrzał na mnie pytająco.

„Tak, zaniiosłam ją“, rzekłam.

„I nie dano pani odpowiedzi?“

„Nie“.

Dał mi markę i rzekł z uśmiechem:

„Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią“.

Cały wieczór przesiedział i patrzył ku damie z towarzyszymi. O jedenastej wstał i podszedł do jej stołu. Przyjęła go zimno, jej dwaj panowie jednak wdali się z nim w rozmowę i zdaje się, drwili z niego. Pozostał tam kilka minut, a gdy wrócił, powiedziałam mu, że do kieszeni jego zarzutki piwa nalano. Zdjął ją, odwrócił się szybko i spojrzał ku stołowi z damą cyrkową. Osuszyła mu zarzutkę, a on rzekł z uśmiechem:

„Dzięki niewolnico!“

Kiedy ją napowrót wdziwiał, pomagałam mu i pogłaskałam go tajemnie po plecach.

Usiadł roztargniony. Jeden z jego przyjaciół zażądał jeszcze piwa. Wzięłam szklankę i chciałam też i jego szklankę ująć. Ale on rzekł: „Nie“ i położył swą rękę na mojej. Przy tem dotknięciu zwiśło nagle moje ramię bezwładnie. Zauważył to i cofnął natychmiast rękę.

Później wieczorem modliłam się dwa razy na klęczkach przed mem łóżkiem za niego. I całowałam w najwyższem szczęściu prawą mą rękę, której dotknął.

Razu jednego obdarzył mię kwiatami, ogromną ilością kwiatów. Zakupił je u kwieciarki, kiedy wchodził. Były świeże i czerwone, był to prawie cały jej zasób. Zostawił je przy sobie na stole. Żadnego z przyjaciół jego nie było. Stałam, ilekroć czas dozwalał, za słupem i patrzyłam weń i myślałam sobie: Włodzimierz F. nazywa się.

Minęła może godzina. Patrzył ustawicznie na zegarek. Spytałam go:

„Czy pan kogo oczekuje?“

Popatrzał na mnie jak nieprzytomny i rzekł nagle:

„Nie, nikogo nie oczekuję. O co pani pyta?“

„Myślałam tylko, czy też pan kogo nie oczekuje“.

„Proszę pani“ odpowiedział. „To dla pani“.

I dał mi kwiaty.

Podziękowałam, ale nie mogłam zaraz na słowa się zdobyć, szeptałam tylko. Bez tchu stałam przed bufetem, skąd coś wziąć miałam.

„Czego sobie pani życzy?“ spytała panna od bufetu.

„Prawda, co pani myśli?“ zapytałam. Nie wiedziałam sama.

„Co myśleć?“ rzekła panua. „Czy pani oszalała?“

„Zgadnij pani, od kogo mam te kwiaty“.

Starszy kelner zbliżył się.

„Zapomina pani o piwie dla pana z kulą u nogi“ zagadał do mnie.

„Mam je od Włodzimierza“ rzekłam i poszłam z piwem.

F. nie odszedł jeszcze. Podziękowałam mu raz jeszcze, kiedy wstał, aby odejść. Zdumiał się i rzekł:

„Kupiłem je właściwie dla innej“.

Tak. Kupił je może dla innej. Ale ja je dostałam. Ja je dostałam, nie ta, dla której je kupił. Mogłam mu zatem za nie dziękować. Dobranoc, Włodzimierzu.

Następnego poranku deszcz padał.

„Czy mam dziś czarną, czy też zieloną suknię ubrać?“ myślałam. „Zieloną, bo ta jest najnowsza. Tę wdziewę“.

Byłam bardzo wesola.

Kiedym przyszła do przystanku, stała tam dama w deszczu i czekała na wóz tramwajowy. Nie miała parasola. Prosiłam ją, aby się ze mną, pod mój schroniła, ale odmówiła dziękując.

Wtedy i ja zamknęłam parasol i tak czekałam. Tak przynajmniej ta pani nie sama zmoknie, myślałam w sercu.

Wieczorem przyszedł Włodzimierz do kawiarni.

„Dziękuję panu za kwiaty“ rzekłam z dumą.

„Jakie kwiaty?“ zapytał. „Ach tak! Przestańże już pani mówić o tych kwiatkach“.

„Chciałam za nie podziękować“ rzekłam.

Wzruszył ramiona i odparł:

„Pani nie kocham, niewolnico!“

Nie kochał mnie, nie. Nie spodziewałam się tego i nie rozczarowałam się. Ale widywałam go co wieczora; siadywał przy moim stoliku i przynosił mi piwo. Do widzenia, Włodzimierzu!

Następnego wieczora przyszedł bardzo późno. Spytał:

„Czy pani ma dużo pieniędzy, niewolnico?“

„Nie, niestety, nie“ odpowiedziałam. „Jestem biedną dziewczyną“.

Wtedy spojrzął na mnie i rzekł z uśmiechem:

„Nie rozumiesz mnie pani. Potrzebuję do jutra pieniędzy“.

„Mam trochę pieniędzy“ odparłam. „Mam dużo pieniędzy, mam sto trzydzieści marek w domu“.

„W domu? Nie tu?“

Odpowiedziałam: „Czekaj pan kwadrans i chodź pan ze mną, kiedy zamknijemy“.

Czekał kwadrans i poszedł ze mną.

„Tylko sto marek“, rzekł. Trzymał się cały czas mego boku i nie dał mi ani isć naprzód ani pozostać w tyle.

„Mam tylko małą komórkę“ rzekłam, kiedyśmy przed bramą stanęli.

„Nie idę z panią na górę“, odpowiedział. „Tu czekam“.

Czekał.

Kiedym znowu zeszła, przeliczył pieniądze i rzekł:

„Tu jest więcej niż sto marek, daję pani dzie-

się marek napiwku. Tak, tak, słuchaj pani, dam pani dziesięć marek napiwku“.

I podał mi pieniądze, życzył dobrej nocy i odszedł. Na rogu widziałam jak przystanął, aby dać starej, ślepej żebraczce markę.

Następnego wieczora żalował, że mi nie może oddać pieniędzy. Dziękowałam mu za to, że nie może mi ich oddać. Przyznał się otwarcie, że je przepuścił.

— Cóż o tem powiedzieć, niewolnico — rzekł z uśmiechem. — Wiesz pani: żółta dama.

— Czemu zwiesz naszą kelnerkę niewolnicą? — rzekł jeden z jego przyjaciół. — Jesteś przecie większym niewolnikiem od niej.

— Piwa? — zapytałam i przerwałam im.

Wkrótce potem weszła żółta dama. F. powstał i ukłonił się. Przeszła mimo niego i usiadła przy próżnym stole, ale przechyliła i oparła o stolik dwa krzesła. F. udał się natychmiast do niej, odstawił jedno z tych krzesel i usiadł. Po dwu minutach powstał znowu i rzekł bardzo głośno: Dobrze, odchodzę. I nigdy już nie wróć.

— Dziękuję — odpowiedziała.

Nie czułam prawie nóg z wielkiej radości, pobiegłam do bufetu i mówiłam coś. Opowiadałam zapewne, że nigdy już do niej nie wróci. Starszy kelner przeszedł; udzielił mi ostrej nagany, alem sobie nic z tego nie robiła.

Kiedy o jedenastej lokal zamknięto, odprowadził mię F. aż do bramy.

— Pięć z tych dziesięciu marek, którym pani dała wczoraj — powiedział.

Chciałam mu dać całe dziesięć i przyjął je, ale mi oddał mimo mego oporu pięć jako napiwek.

— Jestem dziś tak uradowana — powiedziała. — Gdybym pana mogła poprosić pójść ze mną na górę!... Ale mam tylko małą komórkę.

— Nie pójde z panią na górę — odparł. — Dobranoc!

Odszedł. Przeszedł znowu koło starej żebraczki, ale zapomniał jej coś dać, chociaż przed nim dygnęła. Pobiegłam do niej, dałam jej parę groszy i rzekłam: — To od tego pana, co właśnie przeszedł, od tego pana w szarem ubraniu.

— Od tego pana w szarem ubraniu? — spytała kobieta.

— Od tego z czarnymi włosami, od Włodzimierza.

— Czy pani jego żoną?

Odpowiedziałam: — Nie. Jestem jego niewolnicą. Uskarżał się potem przez kilka wieczorów, że nie może mi oddać pieniędzy. Prosiłam go, aby mię nie martwił. Mówił to tak głośno, że wszyscy mogli słyszeć, wielu też śmiało się.

— Jestem łotrem, zbrodniarzem — mówił. — Pożyzyłem pieniądze od pani i nie mogę ich oddać. Dałbym sobie prawą rękę uciąć za pięćdziesięciomarkówkę.

Bolało mię to, że tak mówił i myślałam, jakim sposobem bym mu mogła o pieniądze się postarać. Ale nie mogłam.

Mówił do mnie jeszcze: „Jeśli mię pani zresztą pyta, jak mi się powodzi, to... żółta dama i cyrk odjechali. Zapomniałem o niej. Nie myślę już o niej.“

— A przecie pisałeś dziś jeszcze list do niej — rzekł jeden z przyjaciół.

„To był ostatni“, odparł Włodzimierz.

Kupiłam różę od kwiaciarki i wpięłam mu ją do surduta po lewej stronie. Czułam jego oddech na ręce podczas przypinania i nie było mi prawie możliwe przemocować szpilkę.

„Dziękuję!“ rzekł.

Zaądałam trzech marek, które mi się jeszcze z kasy należały i dałam mu je. To była drobnostka.

„Dziękuję!“ rzekł znowu.

Cały wieczór byłam szczęśliwą, aż nagle Włodzimierz powiedział:

„Za te trzy marki wyjeżdżam na tydzień. Kiedy powrócę, odbierzesz pani swe pieniądze“. Kiedy spostrzegł me wzruszenie, dodał: „Panią jedyną kocham!“ I ujął mą rękę.

Byłam okropnie zmieszana tem, że wyjeżdżał i powiedzieć nie chciał dokąd, chociaż go pytałam. Wszystko, cała kawiarnia i wszyscy ci goście, tańczący naokoło przedemną; nie mogłam tego znieść dłużej i ująłam błagając obie jego ręce.

„Za tydzień wracam do pani“, rzekł i powstał.

Słyszałam jak starszy kelner mówił do mnie: „Opuścisz nas więc pani za dwa tygodnie!“

Niech i tak bęzie, pomyślałam; cóż sobie z tego robię? Za tydzień będzie Włodzimierz znowu przy mnie! I chciałam mu dziękować za to i odwróciłam się — jego już nie było.

W tydzień potem znalazłam, kiedym do domu wróciła, list od niego. Pisał tak smutno, opowiadał, że mi nie będzie mógł nigdy zwrócić pieniędzy, że go bieda całkiem złażała. Potem zwał się nikczemną duszą i podpisał się: „Niewolnik żółtej damy“.

Smutek trawił mię dzień i noc i nie mogłam nic innego robić. W tydzień po tem straciłam miejsce i musiałam się za nowem oglądać. W dzień przedstawiałam się po innych kawiarniach i po hotelach. Dzwoniłam też i u osób prywatnych, ośiarując im moje usługi. Nie szczęściło mi się jednakże. Późnym wieczorem kupowałam potem całkiem tanio wszystkie gazety i czytałam po powrocie do domu pilnie ogłoszenia. Myślałam: może uda mi się ocalić Włodzimierza i siebie...

Wczoraj wieczór odkryłam imię jego w jednym piśmie i czytałam o nim. Wysłałam natychmiast z domu, szłam przez wiele ulic i powróciłam dopiero dzisiaj rano do domu. Możem też spała gdzie, albo usiadła na jakichś stopniach, kiedy mię nogi już dalej nieść nie mogły. Ale o tem nie wiem teraz.

Czytałam to dziś znowu; ale wczoraj wieczorem, kiedym do domu wróciła, czytałam to po raz pierwszy, zalałam ręce, potem usiadłam na krześle. Po chwili usiadłam na podłodze i oparłam się o krzesło. Uderzałam dłońmi o podłogę, podczas gdy dumałam. Może też nie myślałam wcale, ale tak mi w głowie huczało i nie wiedziałam nic o sobie. Potem zapewne powstałam i wyszłam. Na dole na rogu, o tem przypominam sobie, dałam starej żebraczce grosz i powiedziałam jej: „To od tego pana w szarem ubrauiu. Wiecie przecież!“

„Czy pani może jego narzeczoną? zapytała.

Odpowiedziałam: „Nie — jestem jego wdową“.

I wlokłam się aż do dziś rana po ulicach. A teraz czytałam to po raz wtóry. Włodzimierz F. nazywał się.

(Przetł. Z. BYTKOWSKI.)

ZYGMUNT SARNECKI.

DON JUAN I MARKIZ PRIOLA.

(I.) Literatura europejska roi się od Don Juanów. W tych dniach przypominał ich u nas sferom, zajmującym się piśmiennictwem, najmłodszy, ukazując się na scenie miejskiej w postaci margrabię Prioli. Z tego przypomnienia, na żądanie zarządu Koła literacko-artystycznego, wypłynęła niniejsza pogadanka. Odświeżyć ma ona w pamięci łaskawych słuchaczy świetne powinowactwo nowoprzybyłego z niektórymi jego poprzednikami. Powiedziałem z „niektórymi“, o całym tłumie mówić nie sposób. Nie dla tego, aby na omówienie nie zasługiwał, lecz, gdybym chciał wszystkich, choćby tylko wymienić, potrzebowałbym znacznie więcej czasu niż przywłaszczając go sobie mam prawo i pozwolenie na moją dzisiejszą konferencyę. Zaznaczam więc jedynie, że spotkać się z nimi można we wszystkich niemal rodzajach sztuki i literatury świata — w muzyce, rzeźbie, malarstwie, w poematach epickich i powieściach. Najplastyczniej jednak występuje w teatrze. Dramat i komedia, a raczej tragicomedya, uwypukliła postaci Don Juana w dwóch arcydziełach dwóch wielkich poetów: Tirso de Moliny i Moliera. Typy przez nich stworzone są przodkami w prostej linii markiza Prioli. Przyczyniły się poniekąd również do dania życia: Mozartowskiemu, Byronowskiemu, Mussetowskiemu, paru Balzakowskim, Puszkiniowskiemu, Tołstojowskiemu (mówię o Alexisie, nie Leonie) i wielu, wielu innym, między którymi są i polscy: Ryszarda Berwińskiego i Stanisława Rzewuskiego.

Początek wzięły z legendy. Kronika miasta Sewilli zapisała na swoich kartach następujące podanie. Młody i piękny szlachcic kastyljski uwiódł dziewczę wysokiego rodu, a ojca jej, dobroczyńcę i kolarza klasztoru i kościoła OO. Franciszkanów, zabił w pojedynku. Dzięki wpływowym stosunkom i znaczeniu, jakie miał u dworu, wysiliżnął się z rąk surowych sędziów i broił dalej. Zabitego starca pochowali wdzięczni ojcowie w podziemiach pierwotnej sewilskiej katedry, wznosząc na grobie jego posąg marmurowy. Utraciwszy zaś nadzieję, aby prawo ukarało kiedykolwiek nieponia, postanowili odwołać się do sprawiedliwości niebios. Pewnego dnia rozpustny młodzieniec otrzymał bilecik, ręką niewieścią nakreślony, wzywający go na nocną schadzkę miłosną. Lekkoduch stawił się o oznaczonej godzinie pod sklepianiami kościoła, co zaś później z nim się stało, nikt się nie dowiedział. Dość, że odtąd znikł z miasta i okolicy. Oczy Sewilan więcej go już nie ujrzały. Według relacji mnichów — której lud chętnie uwierzył — uwodziciel znieważył statwę rodzica swojej ofiary, za co, mocą nadprzyrodzoną powalony, zapadł się pod kamienną posadzkę i głazami jej zdruzgotany został. Sprawiedliwość ludzka, zadowolona sądem Bożym, który ją wyręczył w drażliwym obowiązku, protestować nie myślała — a kronikarz rzecz całą zapisał bez komentarzy, jak ją opowiedziałem wyżej.

Tirso de Molina — takim był świecki pseudonim hiszpańskiego poety Gabryela Telleza, przecora zakonu Redempcjonistów, zmarłego w 1650 roku — z legendy, w gruncie, dość niekorzystnej dla chrześcijańskiej sławy sewilskiego klasztoru reguły Świętego Franciszka, wysnuł wątek do swego „*El Combibado di*

pietra“, czyli „*El Burlador de Sevilla*“, przerabiając i urozmaicając treść suchej opowieści w sposób jaśkrawy, dla sceny odpowiedni. Powstał stąd twór znakomity, rodzaj duchowego prologu do wszystkich teatralnych historyj o Don Juanach, jakie przyszły po nim. Akcja, chociaż rozprysnięta na mnóstwo epizodów, z założenia przeciwieństw wypływających i ściśle z niem związanych; chociaż przerywana ciągle zmianami dekoracyj i przenoszeniem biegu wypadków z miejsca na miejsce, wre niezwykłym ruchem i życiem dramatycznym. Ona to (jakkolwiek płynie niekiedy płytko, zawsze jednak scenicznie) zajmuje przedewszystkiem. Mało zaś interesują nas charaktery, zwłaszcza tło sztuki stanowiące, pomimo mistrzowskiego rozmachu, z jakim są namalowane; pomimo ujęcia w kształty na wskroś szczerzej, archaicznej, a raczej archeologicznej naiwności, zdobiącej je tak, jak zielona pleśń wieków, zdołi stare, czerniałe, brązowe posągi. Kobięce charaktery są przeważnie biernie, z wyjątkiem może rybacki Tisbey, jedynej kochającej prawdziwie, płomieniem upalnej, słonecznej namiętności. Inne przedstawiają się niby ślepe gąski, nie zahipnotyzowane nawet czarem żądzy Don Juana, jak n. p. ohejwa bogactw i znaczenia wieśniaczka Aminta, jak bezwiednie wzięte przez niego podstępem: księżniczka Izabella neapolitańska i Donna Anna, córka komandora. Wszystkie, jak na kobiety z południa przystało, raz zawiedzione lub oszukane, wpadają w furję. Gotowe są zdrążyć rozszarpać, udusić. Żadna go nie broni i nie uniewinnia, żadna nie jest mu wdzięczną za chwilę doznanej rozkoszy. Wszystkie oskarżają uwodziciela, wszystkie pragną i domagają się jego zguby. — Mozart, który je od Tirso de Moliny zapożyczył, pomimo italianizmu swojej cudnej muzyki, tchnął w nie tkiwe, sentymentalne dusze — zrobił je Niemkami.

O charakterze królów, ambasadorów i ministrów, oraz o młodych naręczonych dziewcząt wywiedzionych w pole, nawet o koniecznym w dramacie hiszpańskim *gracioso* Katalinonie — prototypie Sganarelle i Leporella — nie wiele da się powiedzieć. Są w sam raz takimi, jakich autor potrzebował, by w kolizjach i sytuacjach dramatycznych lub komicznych pytali się o coś wzajem i odpowiadali na zapytania, wygłaszając nadto kiedy niekiedy frazesy poważne, moralne, żartobliwe i uczuciowe; aby z każdej sceny i niemal z każdego zwrotu dyalogu, tryskało etyczne potępienie zbrodni Don Juana. Bo dla poety, Don Juan jest zbrodniarzem. Tirso de Molina, nie zapominający ani na chwilę o swem kapłaństwie, sądzi, że seduktor, doprowadzający kobiety do hańby i upadku, musi być ukarany przedewszystkiem tu, na naszym padole płaczu, a po zgonie skazany na ogień wieczny. Zresztą głęboka jego wiara w tym względzie nie wpływa wcale na zmniejszenie artystycznej wartości utworu. Przeciwnie, nadaje mu pewien hardy wdzięk mistyczny, uszlachetniający realistyczną kanwę dzieła.

Do mistycyzmu tego zbliżył się (z natury kierunku umysłowego i czasu, w sposób modernistyczniejszy) jeden tylko z pisarzy i to autor nowoczesny, uważany powszechnie za ultra-realistę i ateusza. Kto się o fackę przekonać zechce, niech przeczyta „Ostatni dzień Don Juana“, dramat fantastyczny Stanisława Rzewuskiego, nie wnoszący wprawdzie na szczyty górnej poezji, często zbyt retoryczny, lecz nie pozbawiony zalet, zasługujących na poznanie. Ma się

rozumieć, u Gabryela Telleza mistyka jest sto procent głębsza, wypływa bowiem z serca, przejętego pierwotną miłością chrześcijańską; z imaginacji, niewiedzanej religijnymi wizjami, więc wyraża się niekiedy akcentem potężnym, wstrząsającym. Dość tu przypomnieć moment pojawienia się statuy komandora w gospodzie, przez Don Juana zamieszkiwanej. Scena krótka, twarda, jakby z granitu wykuta, kończy się następującym dyalogiem:

Posąg. Czy, jak prawy szlachcic słowa dotrzymasz?

Don Juan. Mienię się człowiekiem honoru. Spełniam zaś dane przyrzeczenia, bo jestem szlachcicem.

Posąg. Podaj-że mi rękę. Nie lękaj się!

Don Juan. Co mówisz? Ja, lękać się! Gdybyś był piekłem samem, podałbym ci rękę. (Podaje.)

Posąg. Czekam cię jutro z wieczerzą o dziesiątej. Czy przyjdiesz?

Don Juan. Sądziłem, że czegoś ważniejszego zażadasz. Jutro gościem twoim będę! Dokąd mam się udać?

Posąg. Do mojej kaplicy.

Don Juan. Przyjdę.

Posąg. Dotrzymaj słowa, jak ja go dotrzymałem.

Don Juan. Dotrzymam, jestem przeciwie Tenorio.

Posąg. Ja — jestem Ulloa.

Don Juan. Przyjdę niezawodnie.

Posąg. Wierzę. — Zegnam!

Don Juan. (chwytając za świecznik) Zaczekaj! poświęcę...

Posąg. Nie trzeba! — jestem w stanie łaski.

Każdy pewno zrozumie, jakie rozmowa powyższa przez dwóch ludzi, z których jeden żyje, drugi zaś przez niego niegdyś położony trupem, wraca z zaświata, aby sprawiedliwości uczynić zadość — rozmowa prostsza od najprostszyc, które pisują dziś niemieccy i włoscy weryści, zakończona słowem bezgranicznej wiary w miłosierdzie nieśmiertelności, musiała, na widzach współczesnych pocie, wywoływać niezwykle wrażenie, jeśli dziś jeszcze pędzi mróz po kościach. Jest dramatyczniejszą — w scenicznym znaczeniu wyrazu — od wszystkiego, co w tym kierunku stworzył dramatanowoczesny. Ta dramatyczność wydatnia się najwspanialej w rozwiązaniu tragi-komedy, natchnionej świeżością bujnej wyobraźni i ogromną, surową — jak życie zakonne — wiarą. — Don Juan wchodzi do katedry. Widzi grób i statwę przez siebie zabitego komandora. W noc ciemną w pośród ołtarzy i wizerunków świętych pańskich, zasiada do wieczerzy pod stropem może maurytańskiego niegdyś meczetu, na kościół zamienionego. Posłuszny mu służący-blazen, nakrywa do stołu. Z porfirowej podstawy monumentu, schodzi po stopniach biała, marmurowa, księżycem oświetlona postać starca, aby zatrzymać się, jak sędzia, przed podechmielonym hultajem. Bo Don Juan Tirso de Moliny, to nie żaden wielki duch rozstroju, tylko pospolity rozpustnik, pełen naiwności, o marnej i sprośnej duszy, zamkniętej w zdrowem i młodem ciele. Żądze zmysłowe zapalają się w nim niezmiernie szybko, bez miłości, bez uczuciowego wstrząśnienia. Gdy ujrzy ładną kobietę, wnet ją posiadać pragnie; każdą bez wyjątku i bez wyboru. Jeśli nawet nie widział której, lecz postyszał, że słynie z piękności, chce ją mieć jak najspieszniej. Nie marzy o zdobyciu niewieściego serca czarem swej

osoby, lecz przebrany za narzeczonego bogdanki, w nocy, jak złodziej wkrada się podstępnie do jej sypialni, aby chuciom swoim kres położyć. Woła nie kietza nigdy zmysłów, bo dumny i nie mądry zarazem, sądzi, że do śmierci jeszcze daleko, że kajanie się i pokutę może odłożyć do chwili, w której zacznie się starzeć i siły tracić. Wątpienia nie zaznał wcale. Nie zbudziło ono w nim ducha, nie rozwinęło umysłu, nie wysubtelniło nerwów. Nie wiele wie i nie nie umie; nikogo nie kocha; nie odrywa myśli ani na chwilę od ziemi; zadawałnia zaś materialne pragnienia bezczelnie, śmiało i gwałtownie, bo rządzi się tylko instynktem zwierzęcym. Prawdopodobnie znużony pościgiem, goniących za nim oszukanych kochanek i ich rodzin, poczuwa głód, więc nie bacząc kościół, czy nie kościół, wieczerać musi w katedrze. Nie naturalniejszego. Każdy gest jego, to objaw — odruch raczej grzechu, rodzącego się z byle pokusy. Nie broni go zaden anioł-stróż, bo o miłości nie ma pojęcia. Wobec sumy mnóstwa win popełnionych — które ludzie i urzędnicy świeckie gotówi mu były przebaczyć, chciano go bowiem świetnie ożenić, wyposażyć i nadać mu nawet tytuł hrabięgo — zrywa się nagle jak burza z nad grobu (którem Don Juan urągał) sprawiedliwość Bożą i pełna majestatu przeciwstawia grzechowi grozę śmierci, połączonej z karą wieczności. Dla samoluba zatwardziałego niema łaski. Zakończenie to na wskróś dramatycznie, pełne scenicznej mocy i poezji, jest zarazem jednym z najpiękniejszych i najoryginalniejszych w europejskiej literaturze teatralnej. Wyrazem jego i obrazem plastycznym nie staje się główny aktor dramatu, ani nastrój i efekt sytuacji, lecz idea — idea wiary.

Tej wspaniałości koncepcji, zarazem politycznej i katolickiej, niema już ani u Zamory, ani u Zorrilli, dwóch pisarzy hiszpańskich, którzy także treść legendy o Don Juanie na scenę układali — ani tembardziej u włoskich jej adaptatorów: Cicogniego i Giliberto. Znajdujemy ją dopiero w inny sposób ujętą, przeobrażoną i potężnie zolbrzymioną — w Molière.

Wielki komedjopisarz nie znał prawdopodobnie oryginału „Gościa kamiennego“, niezawodnie jednak widywać musiał marne farsy, z niego przez francuskich aktorów (Darimont i Villiers) przerobione i grywane z niesłychanym powodzeniem na scenach prowincjonalnych, oraz w teatrze pałacu de Bourgogne w Paryżu. Znakiem kierownik towarzystwa „komediantów“ dworskich, noszącego w dowód zaszczytnego uznania, nadany mu przez Ludwika XIV, tytuł „Troupe du Roi“, postanowił treść sztuki w repertuar swój wcielić. Postanowienie szybko w czyn się zamieniło, bo nieśmiertelny pesymista odczuł i rozumiał, że w obec siebie formy wład może własną satyrę na współczesne mu stosunki społeczne i własny ból, całe niemal życie szarpiący mu łono. Literatura dramatyczna pozyskała przeto jedno ze swych najświetniejszych arcydzieł. Tu pozwałam sobie, w odmiennych słowach, powtórzyć to, co już dawniej, na innym miejscu o „Don Juanie“ Molière mówiłem, przypuszczając, że łaskawi słuchacze ponownego wyrażenia utrwalaonych w umyśle przekonań nie wezmą mi za złe, mniemam bowiem, że w krytyce literackiej jak w polityce, pojęcia, z postępowaniem czasu zmieniać się mogą, pewnych jednak podstawowych wyobrażeń i sądy o dziełach wyjątkowych, które się wżarły w opinię głęboko, podmuch mody nie powinien wywiewać. Pozostać muszą niewzruszone wśród wszelkich

odmian smaku i kierunków, jak piramidy, stojące wiecznie w pośród ruchomych piasków pustyni.

Ogromny talent Molière, jako talent na wskróś teatralny, miał prawo pożyczać tematy do utworów swoich, skądby się wziąć dały, zwłaszcza, że nie tylko był pisarzem genialnym, lecz zarazem przedsiębiorcą i dyrektorem teatru. Pochwyciwszy więc ogólny zarys kanwy hiszpańskiego „Don Juana“, rozsunął na niej po mistrzowsku tragicomedję zupełnie własną i zupełnie francuską, jedną z najdoskonalszych, jakie kiedykolwiek stworzył. Podeptał w niej jedność czasu i miejsca, co mu Boileau wyrzucał; akeyi dał bieg mniej kunsztowny, niż w „Świętoszku“, „Mizantropie“ i „Szkołe kobiet“, lecz zato techną w kształty dzieła nowe życie, nowego ducha, który sprawia, że sztuka wydaje się — nam nawet — niezmiernie świeżą, jakby za naszych czasów napisaną. Zaden z „Don Juanów“ a wspominałem już, jak ich wielu posiada literatura europejska — nie wznosił się tak wysoko, w społeczno-filozoficznym znaczeniu, jak Molièrowski, chociaż równie w Francji, jak po za jej granicami, jest najmniej znany, mniej popularny. Dla czego? Przede wszystkim dla tego, że nawet po pierwszym przedstawieniu, w dniu 15. lutego 1665 roku, krótko gościł na scenie. Grano go z rządu tylko trzynaście razy. — Fatalna trzynastka! — Nie przemogła jej nawet potężna protekcja Ludwika XIV., który znakomitego utworu przed napaściami kliki dworskiej bronił.

MARYAN OLSZEWSKI.

JESZCZE O BOECKLINIE.

Jestto już nieuniknionym losem wszystkich tych, co do wypowiedzenia się swego użyli formy malarzkiej — iż zrezygnować muszą z wyrażenia i możliwości wyrażenia pewnych zjawisk psychicznych wyższego szeregu, a nadto z przedstawienia ich faktycznego rozwoju w czasie.

Można przedstawić genre, epokę — pewne piękno formalne, smak swój awydatnić — wreszcie uczucie.

Wszystko to jednak będzie zrobione „anschaulich“ — będzie dany jeden moment — punkt wyjścia czynności psychicznej widza. Nie będzie to zaś dokładny opis faktycznego przebiegu zjawiska. I dążność w tym kierunku byłaby nawet nonsensem. Słowo bowiem, któremu ta możność jest dana i malarstwo — to różne zupełnie dziedziny nie tylko we formie ale i w treści. A ktoś, co się przyzwyczaił do literackiego programowego pojmowania malarstwa, powinien na podstawie zdrowych higienicznych psychologicznych obserwacji, z których wynioskowano psychologiczne prawa — wyleczyć się z tego i być naturalnym w odbieraniu wrażeń.

Słowo tylko bowiem dać może dokładny opis zjawiska psychicznego.

Wrażenie wzrokowe przez to, że jest wrażeniem samym — wyobrażenie, zaznacza zjawisko psychiczne tylko zewnętrznie, mimiką, dlatego też, ponieważ dziedzina zjawisk, jakimi operuje, jest bardziej pierwotna — tedy i w hierarchii rozmaitych wartości stoi malarstwo niżej, (nie tylko bowiem nie może, jak słowo, wyrazić abstrakcyjnych myśli dokładnie i bez nieporozumień, ale nie może dokładnie

i bez nieporozumień wyrazić stanów psychicznych — ale tylko ich symbole, ich znaki wewnętrzne. Wiemy przecież, z jaką trudnością i z jakim tylko prawdopodobieństwem (a nie pewnością) czytamy w rysach, w mimice. Wkładamy w nią nas samych i dla tego jedynie malarstwo ma dla nas wartość ogromną.

Malarstwo zastrojowe wyraża pewne stany uczuciowe. Być może tedy, że ono jeszcze najgłębiej po przez formę optyczną sięga w życie psychiczne i dla tego może jest najwyższym wyrazem malarstwa; tej też drogi użył Boecklin.

A wybrał drogę lepszą i trafniej i bardziej jest jednolity i zrozumiały niż Klinger; nie narzucał bowiem malarstwu niemalarskich zadań celem wyrażenia niem swego człowieczeństwa — a mimoto, zostając w granicach swej sztuki, wlał w nią ile można najwięcej pierwiastku psychicznego.

Chodzi tylko o to, jakiego rodzaju?

Trwogi przed bogami, dyonyzyjskiego szalu, smutku nieokreślonego i tęsknoty wobec natury, poczucia fatalizmu, rozpętanej zmysłowości. Najprymitywniejsze uczucia. A dziś znamy przecież stany bardziej skomplikowane, subtelniejsze, które w plastyce nawet znalazły swój wyraz. Ktoś, co przychodzi z teoryjami naukowymi, z poglądami darwinistycznymi lub spirytystycznymi przed te najprostsze stany i objawy — tłumaczy je sobie całym szeregiem teoryj, co za tem idzie skomplikowanie i dlatego jest niemi ujęty, zainteresowany. Nie tak to jednak pojmował Boecklin. Daje on nam uczucia człowieka pierwotnego, drgnienia i reakcje nieuświadomione, a intensywne krwi i mleczka pacierzowego.

Przyznaję — moja reakcja na którykolwiek z jego obrazów, np. „Lato“ jest niezmiernie żywa. Porusza we mnie moje miłe uczucia pierwotne. Ale nawet po poznanie teorii darwinowskich, po przeczytaniu Haekla, Bölschego, wśród naszego miejskiego, nienaturalnego życia, najbardziej współcześnie przyrodniczo myślący i czujący — nie powiem, aby mię miały boecklinowskie obrazy zagarnąć zupełnie i wydać się najwyższym wyrazem sztuki wieku.

Jest tam najgrubszy antropomorfizm, najpierwotniejsze uczucia.

Ulegam czarowi obrazów, podobają mi się, bo są we mnie te uczucia pierwotne i one się budzą. A że są silne, intensywne, więc intensywnie silnie odczuwam działanie boecklinowskich obrazów. To jednak, co stanowi istotę jego sztuki, nie jest tym czynnikiem, który najbardziej jest we mnie w rozwoju posuniętym. Znam w sobie takie bardziej rozwinięte czynniki i te mają dla mnie wartość większą w mej skali ocen zjawisk psychicznych. Są bowiem bardziej zróżnicowane, subtelniejsze — choć też i słabsze. Ale są wynikiem wyższego rozwoju. A to właśnie stanowi dla nas, jak obecnie, jedyne najwyższe kryterium, którego się trzymamy, jak tonący deski, i tylko trzeba tę potrzebę subtelniejszych wrażeń wzmoćić.

Kult Boecklina rozumiem bezpośrednio jako odruch na podrażnienie pierwotnych uczuć, a zarazem (patrzac na rzecz ze stanowiska epoki) jako reakcję przeciw kulturze. Bardzo jest wdzięczna i oryginalna taka reakcja przeciw zbrodniom kultury, jej duszności, potworności etc. i wybujała na tym

gruncie pragnienie i tęsknota prabytów, prapoczątków, dyonyzyjskich szalów i uniesień...

Pragnienie! Krzyk niemocy słabych i niewierzących, zapatrzonych w przeszłość. Z człowiekiem kulturalnym, dzisiejszym, niema to nic wspólnego. Mimowoli przypominają się podobni mu marzyciele przeszłości; Rousseau, ów „człowiek natury“ z przemieszką jednak moralizmu — której Boecklin, dzieć darwinowskiego stulecia, nie zna. Wówczas przypominamy sobie Pousin'a, jednego z ojców twórczości Boecklina. Ale mniejsza o to!

Stanowisko to w gruncie rzeczy jest pokonanem już. Działa zawsze, wpija się i wraza nas mocą swej intensywności. Równoległe ze sztuką Boecklina rozwijał się inny kierunek w Anglii, który również nie dbał o genre, ani o piękno formalne, smak (choć w smak się przerodził), ale któremu chodziło o wyrażenie optyczne zjawisk psychicznych. To neopraerafaelici angielscy. Mieli oni jednak jeden niemal wyłącznie stan duszy, zachwycenie i stworzyli nie duszę wogóle, ale włoską, średniowieczną, praerafaeliicką.

Ale i u Boecklina niema jeszcze duszy, rozwiniętej, skomplikowanej, prawdziwej — choć raczej już u niego. On się czuje wśród natury jak polyp, ameba mąwa — jak twór organiczny jednym słowem, czasami jak vegetująca roślina. Czasami posuwa się wyżej i doznaje uczuć pierwotnych ludzi. Strachu przed bogami, ogniem, potworami, smutku nieokreślonego za zbliżeniem się nocy, niepokoju ciszy leśnej. Niezbadany, ciekawszy jest dla nas człowiek współczesny — Böcklin zaś ciekawy, jako człowiek współcześnie żyjący, a mimoto tak pierwotnie czujący. Obudza nasze pierwotne uczucia. Słabi, rozproszeni w naszych wrażeniach i uczuciach, doznajemy pod jego wpływem uczuć intensywnych, bo pierwotnych. Monotonność gorączki naszego życia przerywa się na chwilę, mamy nową rzecz w sobie i kochamy go; i możliwe, że on tak będzie działał zawsze.

Bald zog sie ihn, bald sank er hin.

Pierwotna jest jego sztuka, nie dzisiejsza. Der Standpunkt ist überwunden — i tylko dzięki nieharmonijności naszego rozwoju — dzięki temu, że nie jesteśmy „reine Spiriten“ pierwotność i Boecklin działać będą na nas zawsze. Możliwe, że on, gruby antropomorfista upadnie, a znajdą się środki nowe. Dziś są jego środki ostatnim wyrazem sztuki — środki jego.

Chwyta nas nadto swym kolorytem, dekoracyjnością, swymi marmurami, swą wodą, niebem, fantazją, ekspresją.

Ale jest gruby w swym smaku. Akty jego najczęściej ciężkie, ordynarne. Duchu Taine'a! Przybądź i poświadcz ich niemieckie, szwajcarskie pochodzenie — ludzi, których kształty są karykaturą, ciężkie, o wielkiach wolać, niezgrabne.

I ostatecznie na Niemcy ogranicza się niemal wpływ Boecklina. Nie jest wprawdzie narodowym malarzem — przemówić może do każdego — iście germańską jest tylko jego Robustheit. Nie jest to jednak subtelny i głęboki człowiek, ale jednostka elementarnie odczuwająca naturę i obdarzona wielką siłą ekspresji swych odczuć.